

# ZMOWA BOGÓW

CYKL DORZECZA AM'AHTAN TOM I

BookEdit

ADAM KLIMCZAK



ADAM KLIMCZAK

ZMOWA  
BOGÓW

CYKL DORZECZA AMAHTAN

TOM I

**BookEdit**

Copyright © Adam Klimczak, 2023

Projekt okładki: Ahmed Safeerr

Ilustracje na okładce: © Joseph Soso

Mapa: Peter

Redakcja: Magdalena Osica

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-67539-99-9

Wydawca

**BookEdit**

tel. 512 087 075

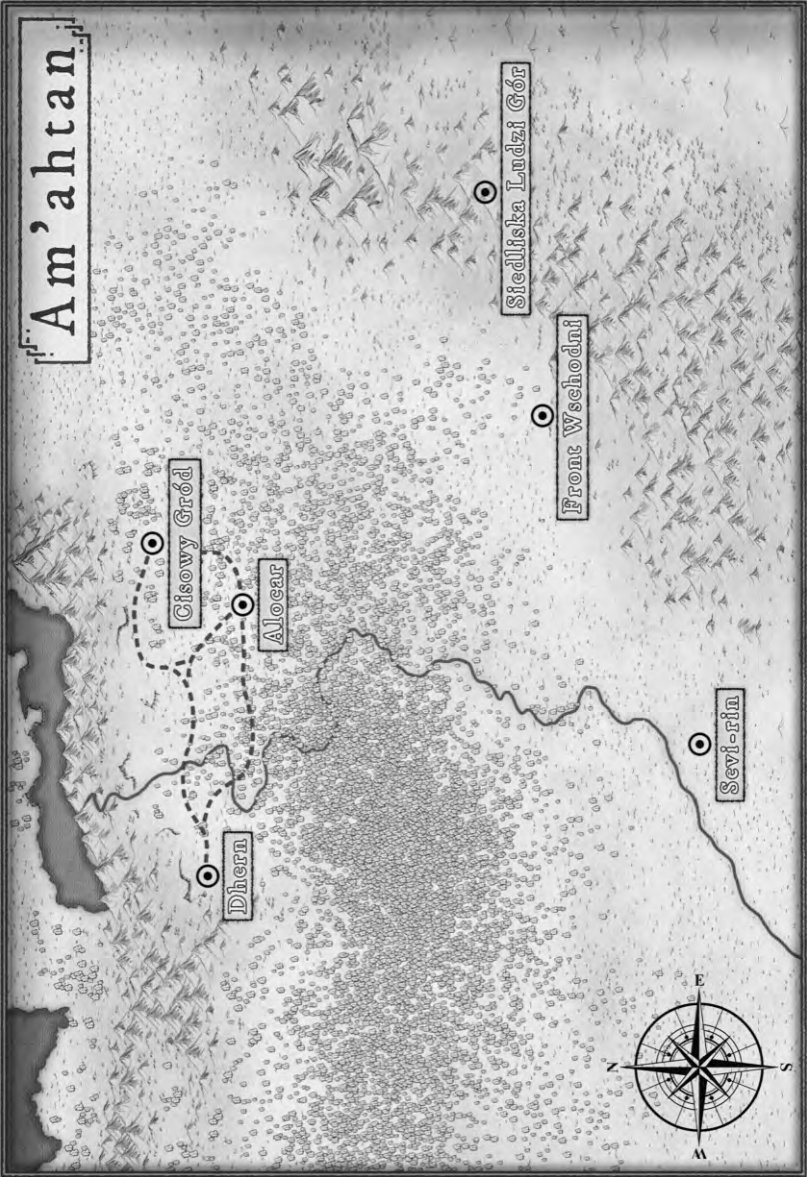
e-mail: [redakcja@bookedit.pl](mailto:redakcja@bookedit.pl)

[www.bookedit.pl](http://www.bookedit.pl)

[facebook.pl/BookEditpl](https://facebook.pl/BookEditpl)

[instagram.com/bookedit.pl](https://instagram.com/bookedit.pl)

# Am'antan



Cisowy Gród

Alocar

Dhern

Sevi-rin

Front Wschodni

Siedliska Ludzi Gór





## Prolog

U podnóża skromnej wioski, daleko na północny-wschód od Dhern oraz Cisowego Grodu – dwóch największych miast Dolnego Dorzecza Am’ahtan, tuż przy wzgórzu, grupka dzieci przyglądała się z wolna spływającej i stopniowo zastygającej lawie. Wypływała z jaskini, którą miejscowi uznawali za świętą. Świętą z tego powodu, że skutecznie odganiała wszelkie bestie i mogące im zagrażać duże drapieżniki, a to za sprawą wulkanicznego odoru, co chwilę powtarzających się wybuchów oraz odprysków magmy. Istna życiodajna i spokojna oaza dla rodzaju ludzkiego trudniącego się rolą i rzemiosłem!

Także i dla tych bawiących się dzieci lawa nie wyglądała na jakies znaczne zagrożenie – spływała po swoim regularnym do tej pory korycie prosto do morza przy sporym klifie, formując go w jeszcze bardziej rozległą skałę. Po zetknięciu z nią nawet drewniane patyki nie zapalały się od razu, co dodatkowo uspiłoby czujność każdego przechodnia. Kilkoro dzieci z tej gromady odkryło, że tylko najsuchsze badyle, schowane gdzieś głęboko pod ściółką leśną, zajmowały się ogniem.

– Nie podchodź za blisko, bo staniesz w płomieniach! – krzyknęło w końcu jedno z nich.

Ledwo co padło ostatnie słowo, a najbliżej bawiący się chłopiec aż odskoczył. Nieźle musiał się sparzyć! W dodatku narobił przy tym takiego wrzasku, że cała zgraja z trudem zauważyła żwawo zbliżającego

się jeźdźca. Był to najzwyczajniej wyglądający dorosły mężczyzna, uzbrojony w krótki oszczep z grotem z brązu. Jego szaty były jednak mocno poszarpane, jakby niedawno stoczył z kimś walkę, natomiast jego twarz – oszpecona wieloma różnej wielkości szramami.

– Uciekajcie! – zawołał, gdy znalazł się już wystarczająco blisko, jednocześnie zwalniając przy tym galop. Nie chciał, by jego wierzchowiec niespostrzeżenie stratował kogoś na śmierć. – Wracajcie do swoich rodziców! Zbudźcie całą wioskę i uciekajcie na łodzi! – krzyczał, kaszląc przy tym niemilosiernie. – Nadchodzi zniszczenie! Nasz bóg schodzi na ziemię – dodał na odchodne, wskazując palcem na wzgórze i dopiero teraz cała grupka zorientowała się, że ze szczytu wzniesienia aż kipi od jasnej, czerwonej, znacznie groźniej wyglądającej lawy. Zapewne dużo bardziej niebezpiecznej od tej, którą bawili się przez cały dzień.

Jeździec pogalopował w dal, pozostawiając za sobą całą zgraję w konsternacji, obserwującą, jak lawa spływa po zboczu wulkanu, a w górę unoszą się gęste kłęby czarnych chmur, opadające na dolinę. Nikt z tego ludu nie widział jeszcze aż tak wielkiego wybuchu. Ba! Nie był im znany do tej pory żaden wybuch. Osiedlając się tu przed laty, wiele pokoleń wstecz, wzięli za pewnik, że ziejąca ciepłą górą będzie ich ostoją. Tylko nieliczni byli w stanie w ogóle pojąć, czym tak naprawdę jest wulkan.

– Góra się zapada! Moja babcia mówiła, że tak się kiedyś stanie – powiedziała najstarsza z całej zgrai dziewczynka, a jej słowa w ostatniej chwili zostały przerwane przez ogłuszający huk oraz falę uderzeniową, która momentalnie powaliła wszystkich na ziemię.

Leżeli tak chwilę ogłuszeni, aż w końcu ta sama dziewczyna jako pierwsza wstała, otrzepała się z piachu, i ignorując nieznośny pisk w uszach, zaczęła biec przed siebie, dokładnie w tym samym kierunku,



w którym udał się jeździec. Po chwili cała reszta ruszyła za nią w nie-  
małym popłochu.

Półmrok nastął zniecka. Tak szybko i nagle, jakby słońce właśnie  
zaszło, a na jego miejsce wszedł blady księżyc, którego poświata lekko  
przebijała się przez gęste chmury. Pomimo ciemności ta najdzielniejsza  
młodzienica zawzięcie brnęła przed siebie, prowadząc rówieśników.  
Gdzieś w oddali na horyzoncie zamigotały delikatne światełka. To  
zapewne osadnicy zauważyli już, że tego dnia noc zjawiała się wcześniej  
niż zazwyczaj i rozpalili pochodnie. Choć dawała z siebie wszystko,  
to dopiero gdy dotarli do wioski i zbliżyli się do świateł pochodni,  
zorientowała się, że cała dziesiątka, z trzydziestu łącznie, zaginęła  
gdzieś po drodze. Przez wybuch i idealnie widoczną falę płomieni  
spływającą ze wzniesienia wieśniacy zostali szybko zaalarmowani.  
Niektórzy pospiesznie ładowali w zbudowanej przez siebie stoczni jak  
najwięcej dobytku, robiąc miejsce dla reszty osadników, szukających  
po ciemku swoich dzieci i prowadzących ich pod rękę do łodzi, albo  
raczej czegoś, czemu bliżej było do prowizorycznych łódek bądź tratw.  
Właśnie na jedną z nich załadowano pozostałe przy życiu dzieci.

Dziewczyna raz jeszcze obejrzała się za siebie, nie mogąc odgo-  
nić myśli, kto mógł zostać przez nich porzucony w tej chaotycznej  
ucieczce. Czy była wśród nich jej sąsiadka, z którą znała się od koły-  
ski? Syn rybaka, który dokarmiał jej całą niezbyt zamożną rodzinę?  
A co ze starszym kuzynem, który uratował ją kiedyś przed wilkiem?  
Przywarła złożoną pięść do serca, błogosławiąc w myślach ich dusze  
i cały czas wlepiła wzrok w powoli ogarnięty płomieniami łąd. Teraz  
płonący ład, po którym wkrótce nic nie zostanie, a jeszcze chwilę temu  
dom tych, których znała. Zapewne niebawem cała wyspa zamieni się  
w jedną wielką pochodnię.

Łzy same ciekły jej po policzkach i dopiero gdy wypłynęli na otwarte morze, przymknęła oczy i ze zmęczenia oraz nadmiaru emocji zasnęła przy maniakalnych pomrukiwaniach drżącego ze strachu ojca:

– Biada grzesznikom, chwała niewinnym... Dziecko sprawiedliwości zejdzie na ziemię. A zanim przejdzie wszelkie krainy i wróci w zaświaty, zabierze ze sobą wszystkich grzeszników. Biada grzesznikom, chwała niewinnym...

**AKT I**

# **ZNISZCZENIE**

**W**mej ojczyźnie, Sevi-rin, po odrzuceniu od siebie wszystkich starych wierzeń, za tego jedyne go, panującego boga uznano Akkura. Już od założenia miasta mój lud czcił go niczym swojego wybawiciela – tego, który poprowadził nas ku pokojowi. Według legend to właśnie on objawił się, gdy ci jako domniemani przestępcy, spaczeni, porzuceni, niesprawiedliwie osądzeni, zostali zesłani z Dolnego Dorzeczca prosto w najgroźniejszą dzicz tego świata. W ten oto sposób skazani na śmierć znaleźli w nim ratunek. Nie dość, że przeżyli spotkanie z okrucieństwem dzikiej natury, to byli w stanie zorganizować się i w poczuciu nowego, wspólnego celu założyć nową osadę, która z czasem przerodziła się w miasto. Miasto, które zapoczątkowało nową siłę w coraz ciasniejszym rejonie. Był to na tyle wzniosły oraz pełen wydarzeń rok, że w mojej kulturze od tego momentu rozpoczęła się nowa era. Był to rok założenia stolicy oraz przyjęcia nowej religii. Wdzięczności i oddaniu nowemu bogu nie było końca. Zażądano wręcz powstania nowego prawa, na mocy którego odwrócenie się od niego groziło śmiercią.

Śmierć mi nie grozi. Kocham swój lud oraz tak samo, jak jemu, jestem wierny bogu, którego wybrano niemal trzy wieki temu. Martwi mnie jednak droga, którą zdajemy się dalej podążać. Jako potomkowie porzuconych, najsłabszych i pozostawionych na pastwę losu przez lata brnęliśmy ku temu, by stać się domem dla wszystkich. Wolnym

i dumnym ludem. Gdy już to osiągnięto, wieści o naszej potędze obiegły cały świat. Postęp się zakończył, utknęliśmy jednak w miejscu, a zaczęliśmy pragnąć czegoś jeszcze więcej. Obawiam się, że tak jak niegdyś Akkur został ogłoszony bogiem postępu, tak niedługo stanie się bogiem destrukcji, a nasz lud z ludzi gnębionych stanie się ludem gnębiącym innych.

*Zapiski Czytającego-we-Śnie, Rok-Fałszywego-Puczu*

E yael zeszła po schodach prowadzących z jednej z głównych dróg miejskich w boczną alejkę. Tam spojrzała przez moment na mały placyk pozbawiony roślinności. Jak na rodowitą mieszkankę Sevirin przystało, знаła tutejsze ulice niemal na pamięć. Zresztą często powtarzała, że nie było to szczególnie trudne, nawet dla kogoś nowo przybyłego. Miasto rozrosło się w miarę równomiernie do formy przypominającej w przybliżeniu okrąg, który z czasem podzielono na trzy podobnej wielkości dystrykty. Dystrykty te natomiast były od siebie oddzielone trzema głównymi arteriami, łączącymi się na placu w samym centrum. Każdą z tych trzech części miasta odróżniała architektura. W Dystrykcie Świątynnym dominowały kaplice. Wizytówką Dystryktu Włóczni były koszary. Natomiast Dystrykt Sierpa... cóż, wyróżniały hodowle bydła oraz, a może przede wszystkim, ich charakterystyczny śwąd. Przy silniejszych porywach wiatru odór nierzadko przenosił się na inne części miasta.

Dla wielu niezależnych osadników i kupców mieszkających poza miastem w zbiorowych szałasach bądź karawanach oraz niemal dla wszystkich odwiedzających miasto kupców architektura i potęga Sevirin były nad wyraz zachwycające. Mury zewnętrzne piły się na co najmniej sto stóp, a w niektórych miejscach, jak chociażby od strony wydm, często mylonych przez ludzi niepiśmiennych z wyżynami, na sto pięćdziesiąt. Jednak miejscowi twierdzili

inaczej, wypowiadając się o tutejszej urbanistyce niezbyt ujmująco. Wszystko było wybudowane z wyschniętego i rozjaśnionego przez słońce kamienia, przez co dominowały tu mdłe kolory. Soczysta zieleń z pewnością ożywiłaby otoczenie, jednak nie było mowy nawet o mchu czy jakimś zielsku wyrastającym niedbale ze szczelin, sklepień między budynkami. Bruk, ściany pobliskiej biblioteki, wszystkich domostw, a nawet siedziska mające tworzyć coś na podobieństwo ławek wraz z wgłębieniem przeznaczonym na rozpalenie ogniska zbudowano z łupków kamienia. W tym pozbawionym wody miejscu był to jedyny budulec zapewniający trwałość konstrukcji, a co najważniejsze – słońce nie było w stanie go zapalić. Tylko kamień na kamieniu.

Eyael szła dalej, aż pozwoliła sobie na chwilę refleksji i wspomnień, zatrzymując się przy dawno nieużywanym palenisku. Doskonale rozpoznała to miejsce. Popatrzyła na sklepienie z dobrze oszlifowanego głazu formującego siedzisko, na którym miała zwyczaj przesiadywać. Podczas odrobinę chłodniejszych wieczorów, z wypiekami na policzkach, wysłuchiwała tutaj licznych opowieści, które starszyzna relacjonowała wszystkim zapisanym na ich fakultety. Miała dużo szczęścia, mając dostęp do nauki. Tylko dzieci pochodzące ze szlacheckich rodów mogły pozwolić sobie na edukację. Przeważająca część jej rówieśników została analfabetami bez szans na większy rozwój intelektualny. Pozbawieni umiejętności czytania i pisania, dla zapewnienia godnych warunków bytowych sobie oraz rodzinie, musieli zająć się walką, by móc kiedyś wstąpić do koszar bądź pałać się niełatwą przecież uprawą roli w Dystrykcie Sierpa.

O tej porze dnia miasto sprawiało wrażenie opustoszałego. Nic bardziej mylnego. Było to przecież największe miasto-państwo

ówczesnego świata, samozwańcza stolica całego Górnego Dorzeczca. W porze największego upału większość mieszkańców oddawała się odpoczynkowi w zaciszu swoich domów, natomiast farmerzy i zbieracze owoców za miejskimi murami chłodzili się przy korycie pobliskiej rzeki. Słońce znajdowało się w zenicie i trudno było zobaczyć na niebie najmniejszą nawet chmurę zapewniającą choć odrobinę cienia. Nawet strażnicy miejscy pochowali się w swoich małych, przyciemnionych przyczółkach z kamieni, gdzie mogli zaznać odrobiny chłodu podczas tej najgorszej pory dnia. Jedynie grotty ich długich na osiem lub nierzadko nawet na dziesięć stóp włócznie wystawały zza rogu dla przypomnienia o ich obecności potencjalnym złodziejom i rzezimieszkom, których było niemało w tak dużym mieście pełnym atrakcji.

Gdy Eyael wznowiła swój marsz, jej kroki ponownie zaczęły odbijać się głuchym echem od ścian blisko siebie położonych tu domów. Jak na członka królewskiej rodziny przystało, stać ją było na wygodne i niezwykle trwałe buty na wysokiej cholewce, których podeszwa była na tyle twarda, że mogłaby z powodzeniem służyć do samoobrony. Jednak niezależnie od posiadanego majątku każdy przywdziewał to, co najbardziej chroniło przed słońcem – luźną tunikę opatulającą każdy skrawek skóry oraz nikab pozostawiający jedynie małą szparę na oczy. Jak na lud mogący pochwalić się wysoką kulturą sztuk walki zadbano także o to, by powszechnie noszone tu spodnie nie krępowały ruchów. Dlatego były one szyte w ten sposób, by mocno przylegały do nog.

Dziewczyna już dość długo szła przez miasto. Rzadko kiedy zapędzała się tak daleko od domu podczas trwania pory suchej. „Minęło już pięć tygodni, kiedy nasza ziemia zaznała deszczu” – jakże trafnie przeszło jej przez myśl. Zwolniła nieco kroku, dopiero gdy kątem oka



dostrzegła pomnik swojego wujka. Jego mosiężna sylwetka usytuowana na – jakżeby inaczej – wielkim kamieniu, dzierżąca dwukrotnie od niego większą włócznię wzbudzała respekt. Jej rówieśnicy często powtarzali, że był to najznakomitszy władca, jakich Sevirin zalicza w swojej historii. Zupełnie odwrotnie do aktualnie panującej królowej, jego własnej małżonki. Niestety doświadczył on głupiej i jakże niesprawiedliwej śmierci przez jad żmii, odwiedzając jedną z podległych mu osad. Eyael z szacunku uklękła na chwilę przed monumentem, by złożyć należny mu hołd.

– Ach, wybaczcie mi – powiedziała na tyle cicho, że stojąc tuż obok niej, miałyby się wrażenie, że poruszyła jedynie ustami.

– Eyael... – usłyszała, po czym wyrwana z zamyślenia żwawo odwróciła się z już przygotowanym do kontrataku djeridem.

Ani żywego ducha. Westchnęła, gdy zorientowała się, że pomyliła podmuch wiatru z głosem wołającym jej imię. Z ulgą włożyła swoją broń między dwa skórzane paski przylegające do zewnętrznej strony spodni. Djerid jest niezbędny w tych stronach zarówno do świętych obrzędów, które nierzadko wymagają upuszczenia krwi w przypadku różnych chorób czy nacinania skóry, jak i do obrony przed wieloma niebezpiecznymi zwierzętami, którym pomimo wysokich murów w jakiś sposób udaje się przedostać do miasta prosto z otaczającej go pustyni. Istnieje tu nawet powszechnie już znane Prawo Djerida. Jeżeli ktoś popełni karygodne przestępstwo i zostanie skazany na najsurowszą z kar – śmierć, powinien zostać zgładzony właśnie za sprawą własnego djerida. Następnie taką broń, pozbawioną właściciela, należało doszczętnie zniszczyć, a sama kradzież czyjejs broni i wykorzystanie jej przeciwko bliźniemu była równa świętokradztwu.

Nie mając już więcej czasu do stracenia, stanęła na nogi i szybszym krokiem kontynuowała swój spacer w kierunku biblioteki.

Oprócz słońca także i drobny piasek unoszący się na wietrze dawał się jej we znaki, przez co była zmuszona pochylić głowę w dół. Budynek czytelnicy lata świetności miał już dawno za sobą. Jego ściany zewnętrzne były mocno poobdzierane, a główne wejście pozbawione drzwi i nawet samych zawiasów.

– Wieczne dni – powiedziała Eyael, wchodząc do budynku z nadal pochyłą głową. W środku, oprócz sterty zakurzonych i obsypanych piachem ksiąg, ujrzała dwie inne postacie swojego wzrostu.

– Wieczne dni Akkura – męskim głosem odpowiedziała jej postać stojąca najbliżej.

– Wieczne dni – zabrzmiał jeszcze inny męski głos.

Dziewczyna rozpoznała po głosie swoich dwóch najwierniejszych towarzyszy. Byli to Erh oraz Tonh – niezależni najemnicy, którzy, zamiast służby w mieście, wybrali działanie na własną rękę jako łowcy zdolni do obrony przed zagrożeniami pustyni wszystkich tych, którzy im za to odpowiednio zapłacili. Jeszcze raz skinęli do siebie na przywitanie, po czym Erh poprowadził ich w kierunku odgrodzonej wnęki, która pod względem wielkości z powodzeniem mogłaby uchodzić za zaplecze jakiegoś szynku. Przykucnął w miejscu, gdzie dało się zauważyć małą, drewnianą klapę w podłodze. Jako pierwszy zdjął swój nikab i zasygnalizował towarzyszom, by uczynili to samo. Następnie wziął głęboki wdech, po czym zdecydowanym i szybkim ruchem zapukał. Dopiero po krótkim oczekiwaniu na odpowiedź ktoś po drugiej stronie otworzył właz, a ich oczom ukazał się wąski spad. Erh przeszedł przez niego pierwszy i z zadowoleniem odkrył, że wnęka jest na tyle płytka, że gdy już stanął na pełne nogi, to był w stanie pomóc Eyael zejść po dość niestabilnej drabince, którą im podstawiono. Natomiast ta, po zetknięciu stóp z podłogą, podziękowała krótko, poczekała, aż Tonh zejdzie jako ostatni i już wszyscy

razem pędzili w głąb oświetlonego zaledwie jedną pochodnią tunelu, na którego końcu ledwo dało się zauważyć machanie jakiegoś nieznanego. Zapewne to on otworzył im wrota.

Kroczyli bardzo powoli. W połowie przejście zwężało się na tyle, że musieli zgiąć się wpoł. Posuwając się w tak niewygodnej pozycji naprzód, musieli uważać na potencjalne przeszkody pod nogami, takie jak belki i co ostrzejsze kamienie. Musieli zważać też na sam płomień pochodni, a raczej na to, by czasem nie liznął za bardzo jakiegoś kawałka drewna. Nawet tutaj, pod powierzchnią ziemi, w tym prowizorycznym tunelu, nie dało się wyczuć wilgoci. Wystarczył mały płomień, a ich szaty strawiłby ogień. Podążali w ten sposób dobry kawałek, aż w końcu znaleźli się w sporej rozmiarów podziemnej izbie. Na samym środku pomieszczenia umiejscowiono spore, przezroczyste naczynie o zaokrąglonych krawędziach, po brzegi wypełnione pustynnymi świetlikami. „Ciekawe rozwiązanie” – pomyślała dziewczyna. Uwięzione owady, szukając wyjścia, obijały się o ścianki naczynia, za każdym razem wytwarzając nieco światła, gdy zderzały się z niewidzialną przeszkodą. W ten sposób były w stanie nieco rozświetlić całe pomieszczenie, przez co właśnie przybyli mogli ujrzeć sylwetki niemal dwudziestu osób siedzących ciasno wzdłuż ściany.

– Wieczne dni – powiedziała cała trójka nowo przybyłych niemalże równocześnie, odczekując chwilę, aż ich oczy przyzwyczają się do półmroku.

Na przywitanie odpowiedział im cichy chórek.

– Musieliśmy improwizować. – Z wytłumaczeniem jako pierwszy wyskoczył dobrze zbudowany mężczyzna, siedzący ze skrzyżowanymi nogami na przedzie, z jedną ręką skierowaną na świetliki.

Znajdował się na tyle blisko nich, że dało się rozpoznać jego pościętą od bójek twarz. Eyael domyśliła się, że to Wędrowiec-znad-Thyn.

Ostrzeżono ją już dużo wcześniej, żeby trzymać emocje w ryzach, gdy go spotka osobiście. Wędrowiec-znad-Thyn stał za powstaniem w stolicy przed ośmioma laty. Choć było o krok od zwycięstwa, ruszenie to zostało ostatecznie stłumione. Dla Eyael musiało to być przedziwne uczucie stanąć z nim po tej samej stronie. Gdyby pucz odniósł wtedy sukces, zapewne dawno by nie żyła. Tak samo zresztą, jak cały królewski ród.

– Z pewnością to bezpieczniejsze – powiedziała Eyael.

Patrząc prosto w oczy swojemu niedoszłemu oprawcy, musiała przyznać, że nie kryła do niego większej urazy. W końcu sama popiera ideę obalenia tronu. Postanowiła zająć miejsce na ziemi tuż obok niego. Przenikliwym wzrokiem przyjrzała się jego ranom, próbując odgadnąć, która z nich mogła być najstarsza.

– Myślę, że wszyscy już przybyli. – Z wnętrza pomieszczenia zabrzmiał dostoyny głos wskazujący na kogoś raczej w podeszłym wieku. Następnie małym echem rozniósł się dźwięk drewnianej laski stukającej o podłogę.

Ten mały ruch uspokoił szepty, a z ciemności wyłonił się starzec, podchodząc pod samo źródło światła na tyle blisko, by wszyscy zgromadzeni mogli go ujrzeć w całej okazałości. Eyael rozpoznała w nim swojego dawnego nauczyciela. Był to Aqu, Lewitujący-Sługa-Ostatniego-Boga. Ucieszyła się, że po dłuższym czasie może go ponownie zobaczyć i w jej głowie niemal natychmiast zakłębiło się od wielu wspomnień, które z nim dzieliła. Zaśmiała się po cichu, kiedy przypomniała sobie, gdy jako dziecko spytała go pewnego razu, dlaczego nie dostaje nowej biżuterii, o którą prosiła zawzięcie boga w swoich codziennych modlitwach.

– Moja droga... To bardzo pomysłowe, ale nie ma jednego boga, który uczyni dla ciebie cokolwiek, o co poprosisz. Wszystkie nasze

modlitwy są starannie oceniane w najwyższym wymiarze i jeżeli sąd zdecyduje, że można nam coś powierzyć, że na to zasługujemy, dopiero wtedy bogowie dokonują cudów na naszych oczach i mogą spełnić naszą prośbę – powiedział jej wówczas, jeszcze jako człowiek głębokiej wiary. Najwidoczniej można ją z czasem stracić. Albo co najmniej zwątpić w chwałę tej najpowszechniej wyznawanej religii.

– To istnieje tam jakiś sąd? – spytała wtedy jakże naiwnie jako zaledwie kilkuletnia uczennica.

– Jest parę teorii. Osobiście wierzę w wieczną równowagę pomiędzy naszymi światami. Niegdyś nasz bóg objawił mi się i przekazał, że nie może spełnić jednej z modlitw, choć bardzo podzielał moje zdanie. Okazał wręcz współczucie, że nie mógł spełnić tego, czego pragnąłem tak bardzo.

– Zwrócił się do pana bezpośrednio? Po imieniu?

– Co prawda nie zwrócono się do mnie bezpośrednio, ale w mojej wizji było to wyraźnie przedstawione. Akkur chciał mnie wysłuchać. Jednak reszta bogów nie wyraziła ostatecznej zgody na moją prośbę. Zupełnie jak w sądzie.

– Zupełnie jak w naszych sądach, kiedy najstarsi w mieście zbierają się, by zdecydować, co począć z grzesznikami? – zabrzmiało jej pełne niewinności pytanie.

– Dokładnie tak, moja mała duszyczko. Pamiętaj, że bogowie stworzyli nas na swoje podobieństwo. Obserwują nas tak samo, jak my ich. My wyznajemy ich chwałę, a oni decydują, czy to wystarcza, by obdarzyć nas swoją łaską, oraz o tym, kto i kiedy na nią zasługuje. To niezwykle skomplikowane. Sam nie mogłem tego kiedyś pojąć. Czasami wysyłają nam niespójne znaki, nie chcą pośpiesznie zdecydować o naszym losie. Obserwują jednak cierpliwie i gdy zrobimy to, czego chcą, nagradzają nas za te uczynki.

Dopiero teraz Eyael zrozumiała, jak wiele cierpliwości wykazywał jej nauczyciel, podczas gdy ta była jeszcze dzieckiem niepojmującym najprostszych reguł tego świata.

– Tak więc zaczynajmy! – Ciasne pomieszczenie szybko wypełniło się słowami Lewitującego-Sługi-Ostatniego-Boga, a młoda szlachcianka powróciła myślami do rzeczywistości.

Jak na łowcę przystało, Kael skradał się po lesie z ostrożnością niczym wilk na polowaniu zwierzyny. Latami przyswajał sobie przekazywaną z pokolenia na pokolenie wiedzę o kamuflażu i tropieniu, którą z dumą starał się wykorzystywać w pobliskich lasach. Po każdym zwinnym kroku rozglądał się na boki, robiąc przy tym najmniejszy z możliwych ruchów głowy, trzymając napięty oraz w każdej chwili gotowy do wystrzału łuk. W mieście nosił zwykle swoją ciemną pelerynę z odmalowanym wzorem skrzyżowanych trzech strzał z dwiema włóczniami. Jednak w leśnych warunkach, z niemalą ilością porozrzucanych gałęzi i kamieni, była ona starannie zwinięta i schowana w małym, skórzanym, podręcznym ekwipunku razem z krótkimi sztyletami oraz odtrutkami na jad większości niebezpiecznych drapieżników.

Sokoli wzrok i niesamowicie dobry słuch zapewniony przez jego wytrenowane już za młodu zmysły oraz domieszka – przynajmniej jak sam podejrzewał – elfich korzeni, czyniły z niego dość obiecującego łowcę. Nigdy nie brał udziału w żadnym oficjalnym szkoleniu czy treningu w miejskich koszarach. Całą wiedzę czerpał z mądrości swojej rodziny, a najchętniej słuchał rad własnej babci – najznakomitszej łuczniczki z całego Dhern. Do tej pory krążyło wiele legend o jej umiejętnościach strzeleckich, jakoby w czasach swojej świetności była w stanie upolować zwierzynę jednym celnym trafieniem, nawet z tysiąca stóp. Niestety była ona już obłożnie chora, praktycznie przykuta

do łóżka, przez co nie można było ani potwierdzić, ani obalić tych plotek. „Wyczul wszystkie zmysły do granic swoich możliwości. Obserwuj całe otoczenie oczami jastrzębi i sów gęsto zamieszkujących nasze lasy. Badaj każdy pobliski zapach niczym kojot skradający się tuż za tobą, natomiast każdy twój nierówny oddech oraz przyspieszone uderzenie serca to potencjalny trop zdradzający twoje położenie” – powtarzał w myślach babcine słowa niczym mantrę, za każdym razem zapuszczając się w dzicz. „Pamiętaj, że rzucasz się w oczy, jeżeli nie wtopisz się w naturę i z nią nie współgrasz”.

Obserwował uważnie całą okolicę. Istotnie wyobrażał sobie, że jest częścią tego buszu, że wiatr poruszający delikatnie gałęzie drzew oraz trawę to koniuszki jego palców, którymi muskał całe otoczenie, gdy on sam przyglądał mu się z boku.

W lokalnej florzce dominowały drzewa iglaste. Na pniach, które pięły się na kilkadziesiąt stóp w górę, zbudowało swoje gniazda wiele ptaków, między innymi dzięcioły, jastrzębie oraz sowy. Miał tylko nadzieję, że nie wytropi go żaden niedźwiedź, wilk lub – co gorsza – puma. Nie parał się zaklinaniem zwierząt jak co niektórzy szamani, by móc w jakikolwiek sposób obronić się przed ich atakiem. „Być może wspiałbym się na jedno z tych drzew” – pomyślał, wybierając kątem oka jeden z najsolidniej wyglądających konarów, który mógłby mu posłużyć za schronienie w przypadku zagrożenia. To właśnie flora była jego drogowskazem. Podążał ścieżką, wzdłuż której znajdowała się coraz bardziej soczysta i wyrazista zieleń. Wiedział, że im bliżej źródła wody, tym bardziej bujna roślinność, co przekłada się na potencjalne skupiska jeleni, na które przeważnie polował.

Dojrzał w końcu sporej wielkości myszołowa, pojącego się przy małym strumyku. Woda wydawała się łąć świeża. Ptak pił łapczywie, jakby miał za sobą wyczerpującą podróż, po której musiał się solidnie



zregenerować. Jak zahipnotyzowany obdarzył go nieco dłuższym spojrzeniem, podziwiając jego majestatyczne piękno.

Z letargu wyrwał go nagły świst przeszywający powietrze zza jego pleców. „Dwa bądź trzy” – zdążył jeszcze pomyśleć, zanim się pochylił. Przyjął pozycję obronną z cały czas napiętym łukiem przygotowanym do kontrataku. Odwrócił się, a jego wzrok powędrował za potencjalnym źródłem wystrzału. Oprócz drzew i krzaków nie zobaczył jednak nic podejrzanego. Ani śladu po trzech, ani nawet dwóch strzałach, o które podejrzewał źródło dźwięku. Swoim ostrym wzrokiem jeszcze raz przeszukał dokładnie całe otoczenie w zasięgu pod każdym kątem, tak jak zresztą brzmiały nauki. Jednak jedynie zające skaczące po dość wyschniętych już gałęziach, łamiąc przy tym parę z nich, wykazywały jakikolwiek ruch. Rozglądał się tak jeszcze przez chwilę, po czym zrezygnowany, lecz z dozą ostrożności, wycofał się do wodopoju. Gdy już znajdował się w promieniach słońca, przed odprężeniem się przeszkodził mu kolejny świst powietrza. Tym razem kątem oka był jak najbardziej w stanie zauważyć, jak jaskrawy belt przebija się przez brzuch zaobserwowanego już wcześniej ptaka.

– Co do...

Gapił się jak zahipnotyzowany, kiedy kolejna strzała przebijając myszołowa na wylot, jakby nigdy nic rozplynęła się w powietrzu. Zwierzę padło przy tym z impetem na ziemię, a tuż obok, z nicości, pojawił się średniej wielkości wilk. Ten kompletnie zignorował Kaela, mimo że znajdowali się co najwyżej dziesięć stóp od siebie. Otrzeptał się z piachu i liści, jakby właśnie przebiegł przez jakieś gęste zarośla. Chwycił w pysk konającego myszołowa i pobiegł przed siebie, błyskawicznie znikając z pola widzenia młodego łowcy.

Kael, jak osłupiały, gapił się w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał zwierz. Cała scena wydawała mu się równie absurdalna,

co przerażająca. Poczuł, jak dreszcze przechodzą przez jego ciało, jednak nadal trzymał rękę na pulsie i stłumił jakąkolwiek pochopną reakcję. „Muszę koniecznie powiedzieć o tym Lerthikowi” – pomyślał, wspominając swojego przyrodniego brata. Na przekór oczekiwaniom całej rodziny Lerthik nie został łowcą tak jak pozostali, lecz podążył drogą skryby. Od zawsze przedkładał książki i wiedzę o świecie nad łuk i włócznię.

– Kiedy nadejdzie wojna, książką się nie obronisz – karcili go rodziciele, gdy jeszcze żyli. Jednak młodsze rodzeństwo i kuzynostwo, wychowywane w czasach pokoju oraz na opowieściach innych, dużo starszych od siebie osób, popierało jego zapędy do studiowania historii oraz różnorodnych dziedzin zebranych w bibliotekach. Tym oto sposobem udało mu się osiągnąć szczyt marzeń – przynależność do Rady Dwubóstwa w pierwszej linii. Przekłada się to na to, że został przedstawicielem całego miasta w Alocar, inaczej zwanego Izbą Przymierza.

– Może w ten sposób nie wygram wojny książką, ale będę w stanie ją powstrzymać. – Lerthik miewał zwyczaj ripostować.

Kael jeszcze przez dłuższą chwilę stał w bezruchu w oczekiwaniu na dalszy ciąg wydarzeń.

– To tylko zmęczenie – szepnął, usprawiedliwiając to, czego właśnie doświadczył, a następnie zaczerpnął nieco wody ze źródła i obmył brudne od leśnej ściółki ręce. – Albo choroba – dodał po chwili, przypominając sobie o tym, że często był przestrzegany przed nieznanymi jeszcze zarazkami zdolnymi uchronić się w dżicy. Wystarczyło przetrzeć oczy lub ranę ubrudzonym palcem i tężec gwarantowany!

Zanim popadł w panikę, zdołał odgonić od siebie te ponure myśli i ruszył naprzód, przechodząc na wszelki wypadek najbliżej drzew

z nadzieją, że ich twarde korzenie będą w stanie zatrzymać potencjalne pojawiające się znikąd strzały.

Nie minęło dużo czasu, gdy dostrzegł w oddali pasącą się sarnę. Z rozczarowaniem stwierdził, że jest jeszcze dość młoda i za mała na kolację dla całej jego rodziny, ale nada się dla co najmniej czterech osób na jeden posiłek. Pomyślał, że co najwyżej odda swoją porcję siostrze. Do zachodu słońca nie zostało za wiele, więc decyzja zapadła szybko – czas na odstrzał. Tak oto kolejny już tego dnia świst przebił leśne powietrze, a zwierzę padło na ziemię, zanim zorientowało się, że zostało w jakiś sposób wytropione i z dystansu zaatakowane.

– Niech Illir-ka-dur pobłogosławi twoją duszę – wyszeptał z szacunku do zabitego zwierzęcia. – A Illir-ka-dar nada życie nowej istocie – dokończył, podkreślając wiarę jego ludu w reinkarnację.

Popatrzył chwilę w niebo, wyobrażając sobie przy tym duszę odlatującą w górę i pewnym krokiem ruszył w kierunku swej zdobyczy. Był rad, że jego najbliżsi będą mogli zjeść coś więcej niż tylko kromkę chleba z masłem posypanym owsem oraz garść orzechów z miodem, choć jego najukochańsza babcia często podkreślała, że taki posiłek był bardziej wartościowy dla organizmu niż mięsiwo. Gdy zmierzał w kierunku swojej zdobyczy, sarna nagle stanęła żwawo na cztery łapy, otrzepała się z ziemi i ze strzałą nadal tkwiącą w zakrwawionym boku popatrzyła mu prosto w oczy, sycząc przy tym niczym jaszczurka. Pozostając w gotowości, umysł Kaela zadziałał wyjątkowo szybko i intuicyjnie. Jako że tylko mały krok dzielił go od zwierzęcia, jednym ruchem wyciągnął z plecaka sztylet i ciał nim przed siebie. Poczł nagły podmuch wiatru prosto w twarz, przez co odwrócił głowę. Gdy ponownie zerknął na zwierzę, kątem oka dostrzegł na jego miejscu długiego na co najmniej osiem stóp najprawdziwszego w świecie węża. Nigdy w życiu nie widział tak wielkiego gada. Wężowe łuski jarzyły

się raz to na zielono, a raz na czerwono, natomiast z jego szeroko rozstawionych oczu z pionowymi źrenicami buchała zaciekle agresja.

Piorunująco szybki przebieg zdarzeń sparaliżował młodego łowcę. Ledwo łapał równowagę, krocząc w tył, kuśtykał ze strachu. Dla zdezorientowania ciskał w potwora ściółką leśną, którą przez przypadek złapał, gdy wstawał z ziemi. Nie miał szans trafić go z łuku. Za szybko się ruszał. Wił się niczym kobra przygotowująca się do tego jednego, celnego i śmiertelnego ataku. Syk i odgłos roztrzaskiwanych pod ciężarem jego ciała gałęzi nasilał się. Kael wiedział, że to jego koniec. Poczul przepływający przez całe ciało zastrzyk adrenaliny oraz dopaminy zapewniający mu przejaw euforii. „To koniec” – pomyślał ponownie, przygotowując się na wieczne spotkanie ze swoimi bogami. Poczul ukłucie tych długich, lecz jakże cienkich zębów przebijających się przez skórę na lewym ramieniu oraz nagle uderzenie gorąca. Znał mu to było z licznych relacji – gdy się umiera, robi się przecież nad wyraz ciepło. Minęła krótka chwila, może dwie, kiedy mroczki przed oczami całkowicie go osłepiły. Spodziewał się wkrótce paść na ziemię i już nigdy z niej nie powstać, pograć w wiecznej ciemności. Koniec końców musiał nadejść czas na niego. Ku swojemu zdziwieniu niespodziewanie nabrał jednak siły, a jego ręce jakby samoistnie zacisnęły się w pięści. Jedno sprawne uderzenie wycelowane prosto w pysk nadal atakującego węża wytrąciło gada z równowagi, co dało młodemu łowcy wystarczająco dużo czasu na decydujący moment – na dozbrowienie się w łuk. Był bardzo zaskoczony, z jaką łatwością i szybkością udało mu się nałożyć nasadkę strzały na napiętą już cięciwę. Nie było jednak czasu do zastanawiania się, do jakiegokolwiek zadumy. Wycelował w bestię. Stojąc pewnie na zgiętych nieco nogach, przerzucił cały balast swojego ciała na bok. Wąz także wygiął długą szyję, by przygotować się do ataku, jednak zanim się zorientował, Kael skoczył w przeciwną

stronę, wypuszczając do tego strzałę, sprawnie koziołkując do lądowania. Uważał, by broń boże nie połamać przy tym łuku.

Po tym, jak znalazł się niemal na ziemi, wystrzelił przed siebie jeszcze z pięć razy. W rezultacie cały ten manewr pozostawił w cielsku kanalii aż sześć strzał. Gdy ta padła, nadal jeszcze złowrogo syczała. Konała już jednak, powoli wyziewała ducha.

Czując się niesamowicie surrealistycznie, Kael gapił się na tę olbrzymią, na swoje szczęście już powaloną, kreaturę. Wstał na nogi, otrzepał się i nadal głośno sapiąc, rozejrzał na boki. Oprócz cielska węża nie dostrzegł nic niezwykłego. Nadal odczuwał ten nienaturalny niepokój. W końcu omal nie zginął w tej kuriozalnej sytuacji, w którą niechcący się wpakował. Kątem oka dostrzegł w końcu czającą się za drzewami postać. Kael obawiał się, że nie może mieć aż tak dużo szczęścia w ciągu jednego dnia. Jeszcze jedna walka mogłaby okazać się tą śmiertelną. Bogowie mieliby uchronić go przed niemal pewną śmiercią aż dwukrotnie? Bał się zwlekać z reakcją, więc postanowił zagrać w otwarte karty i krzyknął, dając do zrozumienia, że doskonale zdaje sobie sprawę z obecności intruza:

– Stój! Ani kroku dalej, widzę cię!

Wyczuwając zasadzkę i jakieś dziwne powiązanie nieznanego z dopiero co powalonym wężem, zgiął nieco kolana, pochylił się w pozycji do skradania i zaczął powoli, krok po kroku, wycofywać się. „A więc to czyjaś magiczna iluzja?” – szybko przekalkulował.

– Ty, gnoju, kim jesteś!?” – krzyknął ponownie w kierunku dobrze zakamuflowanej postaci. Ku jego uldze, nie dało się zauważyć u niej łuku, co mogło oznaczać, że przynajmniej z dystansu nie będzie stanowiła zagrożenia.

Mając już dość wrażeń na dziś, pragnął jedynie powrócić do domu, uciec z tego przekłętego miejsca, obudzić się z tego koszmaru. Chciał

przeżyć, żyć dalej i być przy najbliższych, wszystkich tych, na których mu zależy. Pozwolił zrobić sobie kolejne dwa kroki, jako że nie usłyszał żadnej odpowiedzi, nadal mając na oku nieznanego, a raczej zawieszając spojrzenie na drzewie, za którym ten się schował. Gdy nieznanomy wciąż nie wykonał żadnego ruchu, Kael zrobił kolejne dwa kroki do tyłu. I następne dwa. Powtórzył czynność jeszcze kilkukrotnie, aż był na tyle daleko, by ze spokojem uciec w głąb lasu. Wiedział bowiem, że gdy znajdzie się wśród ścieżek, które zna na pamięć, jego przewaga będzie na tyle wielka, że przeciwstawi się każdemu niebezpieczeństwu. Biegł tak przed siebie dłuższą chwilę, mijając znane gąszcze i pagórki. Nie śmiał obracać się za siebie. Skręcił w kierunku wzniesienia znanego sobie od dawna, przebiegł zygzakiem pomiędzy drzewami, gdzie już jako dziecko zbierał czereśnie oraz jagody, aż w końcu dotarł na polanę, skąd wzrokiem sięgał do fortyfikacji Dhern. Dopiero tutaj pozwolił sobie na chwilę wytchnienia. Nabrał powietrza w płuca i na wydechu przymknął oczy. Gdy je ponownie otworzył, ujrzął miejskie mury rodzinnego miasta, na które padały płomienne promienie powoli zachodzącego słońca. Z ulgą zrobił krok naprzód. Ta bliskość domu i poczucie bezpieczeństwa okazały się jego zgubą. Zorientował się, dopiero gdy poczuł, jak grunt usuwa mu się spod nóg. Tego nie powinno być w tym miejscu – zdążył jeszcze pomyśleć, gdy poczuł, jak nagle zapada się w nienaturalnie wyglądający, schowany pod ściółką leśną dół. Przeklął jeszcze w myślach. Rozpoczął te łowy niczym wilk wysłany na polowanie, a skończył w pułapce jak jakiś gryzoń, gdzie w końcu stracił przytomność.

To jest pierwsze i absolutnie ostatnie oficjalne spotkanie w tej sprawie. Wszyscy ryzykujemy śmiercią, samym faktem, że tu przesiadujemy. Spójrzmy prawdzie w oczy... Knujemy przeciwko naszym władcom. – W czeluściach ledwo oświetlonej piwnicy upadłej biblioteki w samym centrum Sevi-rin kontynuował swoje przemówienie Lewitujący-Sługa-Ostatniego-Boga. Uważał przy tym, by jego głos nie był na tyle donośny, by wzbudził podejrzenia kogokolwiek znajdującego się na zewnątrz. Teoretycznie, nawet gdyby krzyknął, nie dałoby się tego usłyszeć przez niezwykle grube mury oraz sam sufit tej prowizorycznej kryjówki. Jednak ostrożności nigdy za wiele. – Wystawiamy się na wielką próbę, a słowo „pucz” jest tu zdecydowanie nie na miejscu. Adekwatne byłoby sformułowanie przekazanie władzy. Czym różniemy się od złoczyńców z przeszłości, którzy chcieli dla siebie przejąć tron? My walczymy za ideę, za rozwój, nie zaś za Akkura czy innego boga czekającego w kolejce na objęcie nad nami kontroli. Kwestią sporną jest to, czy ci bogowie istnieją. Kolejną bowiem rzeczą, która odróżnia nas od reszty społeczeństwa, jest... ujmując to bardzo brutalnie bądź chociażby dobitnie, herezja. Brak wiary? Nie nazwałbym tego w ten sposób. Raczej zrozumienie, że bogów nie ma! – Zamilkł, gdy zdał sobie sprawę, że emocje nieco za bardzo go poniosły. Dał sobie chwilę na ochłonięcie. Powstrzymał potok słów, bo plótł, co mu ślina na język przyniosła, powoli dochodząc do tego, że nie mógł

się zdecydować, czy jego wiara została już całkowicie zatracona, czy tylko nieco osłabiona. Rozglądał się tak po zebranych i pozwolił sobie kontynuować: – Po waszych obliczach widać, że jestem najstarszy w tym zgromadzeniu. Wiele cierpienia spotkałem w moim życiu, wielu dziwnych i niewytłumaczalnych rzeczy byłem świadkiem. Zawsze starałem się być najbliżej potrzebujących. Odwiedzałem prostych ludzi, rolników, wypasaczy bydła, zbieraczy corocznych plonów, a na królewskim dworze przekazywałem wiedzę o tym świecie już trzem pokoleniom – opowiadał z pasją starzec. – Byłem świadkiem wielu sytuacji, w których to bogowie powinni błagać ludzi o wybaczenie. Nie na odwrót. Cóż bowiem można powiedzieć matce, która prawidłowo donosiła ciążę, ale urodziła martwe dziecko? Co stwórcy chcieliby nam przekazać, zsyłając ciężkie choroby, byśmy zmagali się z nimi w bólu po kres naszych dni? Cóż poradzić młodym i niewinnym dzieciom maltretowanym przez własnych rodziców? Gdzie znajduje się w tym cel? Co usprawiedliwia nasze najgorsze poczynania i zjawiska, na które nie mamy po prostu wpływu?

– Słyszałem nawet, że... – wtrącił ktoś z grupy, gdy Lewitujący-Sługa-Ostatniego-Boga zwolnił nieco, kaszlnął i jakby zaczął rozglądać się po suficie dla złapania wątku, który nagle zgubił. – ...Że to kapłani wykorzystywali ludzką naiwność i krzywdzili innych. I to w niewyobrażalny sposób! Nawet małe dzieci! Znam przynajmniej jednego, który za swoje grzechy stracił głowę. Który bóg by na to przystał?

– Zapewne żaden. – Starzec ponownie przejął głos, odzyskując nagle świeżość umysłu. – To nie Akkur sprowadza deszcz, słońce i urodzaj na nasze ziemie adekwatnie do modlitw. Żaden z bogów nie karze nas dłuższą suszą i nieurodzajem za niewznoszenie nowych świątyń. Za tym wszystkim stoi natura. Natura rządzi się własnymi,



niepojętymi jeszcze dla nas zasadami. Stara się to wszystko utrzymać w równowadze tak długo, jak nie następuje w niej żadna większa ingerencja.

Nastąpiła chwila kolejnej przerwy w przemowie. Starzec ponownie zmierzył wzrokiem wszystkich, którzy zapragnęli zgromadzić się tego dnia. Prędko skarciłby każdego, kto by go nie słuchał. Jednak z satysfakcją zauważył, iż posiada całą ich uwagę.

– Choć trwający już trzy lata konflikt prowadzony jest w głównej mierze na dość odległej pustyni, to zdążył znacznie odcisnąć swoje piętno na całym mieście. Jeszcze do niedawna wydawało nam się, że Sevi-rin może rozwijać się praktycznie bez końca.

– Tak to prawda, przy braku większych zagrożeń w tym regionie liczbę mieszkańców podaje się już w dziesiątkach tysięcy. Pamiętam doskonale, kiedy lata temu sporządzałem raporty na ten temat. Jednak wojna wyraźnie nas osłabia. – Zabrał głos jeden ze skulonych w kącie mężczyzn.

„To zapewne jeden z miejskich skrybów” – pomyślała Eyael.

– O czym my tu mówimy? Południowa-Chwała zawzięcie neguje, jakobyśmy przebywali na ścieżce wojennej. – Przejął głos jeszcze inny mężczyzna siedzący po przeciwnej stronie.

Wygląda na to, że każdy próbował dorzucić swoje trzy grosze. Był to prawdopodobnie wojownik, sądząc po otarciach od skórzanych rękawic na jego dłoniach i nadgarstkach oraz zaschniętej krwi na szyi.

– Wojny z tymi dzikusami? – wtrącił kolejny Sevirińczyk.

– Nieważne, jak bardzo lekceważąco ich nazwiesz, gdy tylko przedrą się przez nasze mury, tobie w pierwszej kolejności poderzną gardło.

– Czemu akurat mną mieliby się zająć jako pierwszym?

– Ach tak, zapomniałem o twojej lubej. Ją wezmą pierwszą. – Dało się słyszeć jeszcze inny drwiący głos.

– Dostyc tych plugastw! – zabrzmiał starzec, który przewodniczył całemu zebraniu. Jak na swój wiek, jego głos potrafił być niezwykle donośny w wymagającej tego sytuacji. – Jak już będzie po wszystkim, możecie się kłócić na ulicy i to do woli! Wtedy przechodnie sami osądzą, kto miał rację. Jestem przekonany, że wielu mieszkańców tęskni za takim obrotem spraw – podkreślił na zakończenie tematu, wspominając samosądy uliczne, które jeszcze do niedawna były tu powszechnie praktykowane, a w szczególności w Dystrykcie Włóczni.

Mędrzec westchnął, wziął łańcuchy wody ze swojej manierki i pozwolił sobie kontynuować, nie widząc u nikogo większego sprzeciwu.

– Tak jak już powiedziałem, wystarczająco ryzykujemy tym spotkaniem, na które tak wielu z was nalegało. Wojna zdążyła już drastycznie osłabić naszą ludność. Co wszyscy doskonale wiemy z przekazów moich i waszych dziadków, wszystkim dotychczasowym władcom nie było dane prowadzić żadnego otwartego konfliktu zbrojnego. Tym bardziej Południowa-Chwała się po prostu do tego nie nadaje. O tym, że od początku swojego panowania nie zyskała poparcia swojego ludu, świadczy chociażby istnienie naszej grupy. Najstarsze zapiski w księgach historycznych Dorzecza Thyn sięgają czterystu lat wstecz. Jak na tak długi okres zaledwie trzyletni konflikt nie robi ogromnego wrażenia... Prawda... Jest to jednak wojna z przypadku, zupełnie nikomu nie na rękę. Nikt nawet nie przypuszczał, że tak blisko nas może znajdować się niezauważony do tej pory lud, Ludzie Gór, także roszcący sobie prawo do Dorzecza. Dlatego naszą nadzieją, nowym światelkiem w tunelu jest Księżyc-znad-Thyn, jeden z najdzielniejszych i najsilniejszych wojowników, jakich widziało Sevi-rin. Niedługo, gdy tylko osiągnie pełnoletniość, będzie na niego czekać proces inicjacji. Naturalną siłą rzeczy po śmierci jego matki zostanie mu przydzielone miejsce na tronie. Wcześniejsze działania nie mają większego sensu, ponieważ

gdyby królowa wyzionęła ducha, zanim jej syn osiągnie pełnoletniość, według kodeksu naszego miasta może dojść do głosowania Dystryktów w celu wyboru nowego władcy. – Gadał jak najęty i przerwał dopiero, gdy ktoś wznosił rękę na wysokość jego wzroku. – Słucham, młodzieńcze? – zdążył powiedzieć, lecz zakaszlnął, gdy zorientował się, że to dziewczyna, kiedy ściągnęła kaptur, odsłaniając swoje lico.

Włosy sięgały jej zaledwie do samych uszu. To, że nie miała całkowicie zgolonej głowy oznaczało, że nie mogła przynależeć do żadnej oficjalnej instytucji miejskiej, a tym bardziej do koszar. Najprawdopodobniej zamieszkiwała jakąś osadę poza granicami Sevi-rin, której struktura zarządzana była na innych zasadach.

– Lata temu miałam zaszczyt spotkać ich na swojej drodze – rozpoczęła opowieść. – Byłam wtedy adeptką z Dystryktu Włóczni. Brałam udział w zwiadzie za wydmami. Patrząc na to z perspektywy czasu, zostałam rzucona na front niczym mięso armatnie. Zresztą tak samo, jak cała grupa moich rówieśników, którzy dopiero co dołączyli do koszar. Południowa-Chwała zawsze miała nas gdzieś.

– Co ma do rzeczy ta historia? – spytał znajdujący się najbliżej niej Wędrowiec-znad-Thyn. Popatrzył dziewczynie prosto w oczy. Jego spojrzenie przeszywało ją na wylot, lecz ta zignorowała pytanie i wróciła do swojej opowieści.

– Z wyglądu przypominali ludzi takich samych jak my, jednak ich język, okrzyki i słowa, którymi się posługiwali, brzmią jak odgłosy dzikich zwierząt. Gdy ruszyliśmy na nich, nie okazywali absolutnie żadnej litości. Nawet wobec siebie samych. Tylko u zwierząt mogłoby wystąpić podobne zachowanie. Przed drugą i zarazem ostatnią bitwą jako wojowniczką Południowej-Chwały widziałam na własne oczy, jak jeden z nich, tuż przed rozpoczęciem walki, żywcem obdarł swojego kompana ze skóry. Zapewne tylko po to, żeby wzbudzić w nas grozę, to jest, by osłabić morale.

– Pewnie podziałało? – dodał ktoś z grupy, ledwo tłumiąc śmiech.

– Tak, tak, Sevi-rin jest bardzo wdzięczny za takie i podobne relacje z frontu. Natomiast dogryzania nie mają tu większego sensu – skarcił mędrzec. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie wszyscy przynależący do tego ruszenia wykazują się ogładą. Cóż, niestety, by plan się udał, potrzebował jak największej liczby chętnych, a raczej siły ich mięśni. Gestem otwartej dłoni nakazał zachować ciszę i sam ponownie przejął inicjatywę, by dojść do głosu. – Włócznie, dzidy oraz łuki świetnie nadawały się do walki z dziką naturą i do stłumienia protestów, i to pozostało szczytem rozwoju tutejszej armii. Dla odparcia najazdu potrzebujemy ulepszonych oręża, bardziej zdyscyplinowanej armii, sprawniejszego zarządzania u samych podstaw, a także obecności władcy na polu bitwy. Większość życia służyłem na dworze królewskim jako mentor. Cechy dowódcy, którego potrzebujemy, widzę u Księżycy-znad-Thyn. Zapewniam was, że jest to ten, który poprowadzi nas do zwycięstwa, rozwoju oraz wyprowadzi nas na nowe ziemie, których tak bardzo potrzebujemy. To wszystko jest niezbędne, by zapewnić przetrwanie naszemu ludowi.

– A więc ta część planu to prawda? – zabrzmiało nowe pytanie wyrwane z tłumu.

Starzec wziął głęboki wdech, odchrząknął, po czym kontynuował.

– Nasza rzeka wylewa coraz rzadziej i trwa to coraz krócej. Widać to gołym okiem, wystarczy spytać pierwszego lepszego przechodnia na ulicy. Do tego wiatr niosący piasek z pustyni męczy nas oraz nasze zwierzęta domowe z coraz większą zawziętością. Za kilka lat może doszczętnie wybić nasze bydło. Akkur, tak jak już powiedziałem, jeżeli istnieje, to bóg rozwoju. Abstrahując od tego, sama natura daje nam wskazówki do działania. Znaki na ziemi i niebie... palące słońce... to wszystko wyraźnie mówi, że aby nasza kultura przetrwała, musimy

odnaleźć nowe ziemie. Tak więc, to prawda... Nasze miasto czeka nieunikniona zagłada. Może nawet wcześniej, zanim Ludzie Gór dotrą do naszych bram. Nie możemy negocjować oczywistych faktów. W dodatku to, co najbardziej mnie przekonało, to raport jednego z naszych zwiadowców, którego tożsamości nie mogę oczywiście wydać. – Zrobił chwilę przerwy i zwolnił tempo przemówienia. Samo oddychanie w tej dusznej piwnicy sprawiało mu więcej trudności niż na powierzchni. – Nie śmiem nawet zdradzić, czy jest to ktoś z naszej grupy, z pałacu czy jakiś niezależny najemnik. Faktem jest jednak to, że tuż za wydmami bądź – jak mówią inni – wyżynami, których jeszcze nikt do tej pory nie był w stanie pokonać, znajduje się wielka, życiodajna wyspa. Jeżeli o niej mowa, trzeba też powiedzieć o morzu – wielkim morzu, które otacza wyspę z każdej strony jako naturalna ochrona przed wrogami. Coś, czego nawet kapłani nie mogliby lepiej wymyślić. Według plemion, które żyją u brzegu wyspy, zaledwie na trzydzieści dni w całym roku wylania się z niego ścieżka, a raczej droga, którą można je pokonać suchą stopą.

– Z wody wylania się most?

– Nie, nie, nie, nic z tych rzeczy. – Ukrócił mędrzec, nieco poirytowany tępyim pytaniem, jednak nie chcąc dać tego po sobie za bardzo poznać. – W tej części świata zachodzi mały odpływ i wtedy wylania się spora połać terenu, przez którą można bez trudu przejść. W sumie niczym most... tak, tak. Gdyby tylko okazało się, że są tam te żyzne i życiodajne tereny, moglibyśmy w końcu znaleźć swój prawdziwy dom dla nowych pokoleń i to tym razem na całe wieki.

– Pamiętajmy, że nadal wiele osób popiera to pospolite ruszenie, ale boją się zaryzykować – dodał od siebie Wędrowiec-znad-Thyn, gdy starzec zamilkł na nieco dłuższą chwilę.

– Tak. Słyszałam już o strażnikach, którzy martwią się przyszłością swoich rodzin, gdyby zginęli.

– To prości ludzie. Wykazują najprostsze instynkty.

– Ludzie na tyle prości, że wystarczy im zapłacić za potencjalne ryzyko.

– Czyli przekupić?

– Mam tu na myśli zapłatę na tyle hojną, by ich rodziny już nigdy więcej nie musiały trudnić się pracą zarobkową, gdyby ci jednak polegli.

Starzec odchrząknął i ponownie zaczerpnął nieco świeżej wody z bukłaka, gdyż tak długie przemawianie stawało się dla niego coraz bardziej męczące.

– Moje dziecko – zwrócił się bezpośrednio do Eyael, po czym ta rzuciła na ziemię małą sakiewkę. Wypadł z niej tuzin różnej wielkości pięknie oszlifowanych kryształków, a te zamocowane były na złotych łańcuszkach.

Oczy wszystkich w pomieszczeniu skupiły się na kuszących błyskotkach, które nawet w tym półmroku pięknie lśniły. Z letargu zbudziły ich jej słowa:

– Drobný datek do przekupienia tych, którzy nie powinni pisać słówkiem. Jeżeli będzie potrzeba więcej, załatwię w ciągu dnia, maksymalnie dwóch. Tylko nie pytajcie, skąd je wykradam.

– To... przekonująca suma... da się za to kupić wiele... naprawdę wiele – powiedział zaintrygowany Lewitujący-Sługa-Ostatniego-Boga łamiącym się głosem.

– Tak jak mówię, to dla tych wojowników Sevi-rin, którzy nie dali się przekonać. Dajcie im to i karzcie po prostu milczeć – rzuciła Eyael. – Nie patrzcie tak jak hieny. Wszyscy, którzy tutaj siedzicie, zostaniecie dużo hojniej wynagrodzeni, gdy tylko nasza misja się zakończy. – Mowa ciała dziewczyny wskazywała, że i jej było wyraźnie za duszno. Próbowwała nawet powachlować się otwartą dłonią, jednak nie

było to w stanie wytworzyć żadnego podmuchu. Powietrze zdawało się gęste jak zupa.

– To powinno wystarczyć... Nie pozostało już za wielu do przekupienia. Nawet Dystrykt Sierpa, który i tak ma odgórny nakaz pozostania neutralnym, chce, żeby tron został przejęty przez nowe, młodsze pokolenie – dorzucił ktoś inny zachrypniętym głosem.

– Nie ma tu dużo filozofii, każdy pragnie zakończenia tej bezsensownej wojny – rzekła ponownie młoda szlachcianka. – Nasi ludzie giną na nic, już dawno powinniśmy przedrzeć się na nowe ziemie. Z kim my w ogóle przegrywamy? Z bandą dzikusów nieumiejących ułożyć pełnego zdania. Tłuką nas jak kury, a Południowa-Chwała tylko to wszystko obserwuje, nie mając odwagi ruszyć poza mury miasta, i całe swoje życie skupia na planowaniu odwetu na ludach z Dolnego Dorzecza.

– Dokładnie, dokładnie, moja droga. Obserwuję wasze życie od samych jego początków. Widzę to w oczach twojego kuzyna i słyszę w twych wypowiedziach. Wiem, że już pierwszego dnia od przejścia tronu wyruszy on na front. Sama jego obecność w bitwie dokona rzeczy niespotykanych. Nasza armia przemieni się w watahę żadną tego, czego tylko chce nowy władca. Ich serca już zdobył, czas na to, żeby nasze wojsko zdobyło nowe ziemie – dokończył wyraźnie rozmarzony.

– Szanuję wasze mocno pochlebne słowa. Także wierzę w ten plan. Za dziesięć dni nadejdzie dzień inicjacji, najświętszy dzień jego życia. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo nie mogę się doczekać tej chwili.

– Nie tylko my tutaj zebrani, ale wielu innych Sevirinńczyków pragnie, by ta wojna w końcu się zakończyła – powtórzył Lewitujący-Sługa-Ostatniego-Boga. – Południowa-Chwała jest słabą następczynią tronu. Myśli, że rządzenie polega na utrzymaniu w ryzach własnego dworu. Nikt nie chce zabijać bezbronnego dziecka.

Jak na zawołanie gdzieś spod ściany rozległ się głuchy płacz niemowlęcia. Momentalnie wzrok wszystkich skierował się w stronę matki, która gwałtownym kołysaniem rąk próbowała uspokoić swoją pociechę.

– Walka o lepszą przyszłość dla niego jest motorem moich działań – powiedziała kobieta z pewnością siebie, odsłaniając twarz o wielu zaschniętych już ranach i z otarciami.

Mogło to sugerować, że była to kolejna dezertarka z frontu. Być może nawet powracająca do domu, by właśnie zająć się dzieckiem. Dla uspokojenia niemowlęcego płaczu przystąpiła do karmienia, a gestem rozłożonej ręki dała do zrozumienia przewodniczącemu spotkania do kontynuacji, co ten z chęcią powziął:

– Czymże jednak jest przyzwolenie na stagnację? To nic innego jak wystawienie własnego ludu na klęskę. Podejmując ciągle te same decyzje, nie wygramy z najeźdźcami. Nie można oczekiwać innego rezultatu, robiąc wciąż te same kroki. Dlatego pozbywając się młodego demona, zapobiegniemy zniszczeniom, których dokonaliby w przyszłości. Czas na obalenie Południowej-Chwały i powierzenie losów kolejnemu, młodemu pokoleniu Sevi-rin. Także i nowemu pokoleniu na królewskim dworze. Pora na prawdziwą chwałę Sevi-rin! – Starzec przerwał nagle. Po każdym kolejnym zdaniu wydawał się coraz bardziej zmęczony. Kiwnął do Pustynnego-Stepniarza, najwyższego z wojowników biorących udział w zgromadzeniu.

*Ciąg dalszy dostępny w pełnej wersji książki.*